

Kilimandżaro 2011

Jesienią 2010 roku niespodziewanie zostałem poproszony przez znajomych o zorganizowanie dla nich wyjazdu na Kilimandżaro. Do tamtej pory skutecznie się przed tym broniłem, przekonując potencjalnych klientów do wybrania się w Afryce do Etiopii, na wulkany Wirunga czy też w bardzo ciekawe góry Ruwenzori. Oglądałem przedtem wiele relacji z wejścia na Kilimandżaro, wyłonił się z nich obraz góry dość banalnej, a wejście na nią, jak to określiła himalaistka **Ania Czerwińska**, „*to taka wycieczka w trochę większe Bieszczady*”

Tym razem, skuszony pewną gratyfikacją materialną, zgodziłem się na poprowadzenie takiego wyjazdu. W końcu powiedziałem sobie, dlaczego nie, wszak tam jeszcze nigdy nie byłem. W końcu będę miał prawo założyć koszulkę, którą otrzymałem w 1986 roku od **Eli Kuźmiuk**. Koszulka miała napis: „*Have you been to Kilimanjaro? I have*”

Ze zdobyciem informacji nie miałem kłopotów, w końcu przez wiele lat działałem w środowisku podróżniczym i z dotarłem dość szybko do znajomych, którzy tam byli niedawno, **Grażyna Brzezińska** przedstawiła mi prezentacje ze swojego wyjazdu, podając mi szczegółowo zapiski ze swoich skrętnie prowadzonych notatek, w których były zawarte istotne informacje, a szczególnie ceny za usługi i wysokości dawanych napiwków. Grażyna bardzo rozsądnie poradziła, byśmy przed udaniem się na Kilimandżaro weszli na trochę niższy wulkan Meru o wysokości 4565 m n.p.m., w celu zdobycia odpowiedniej aklimatyzacji. Z wypowiedzi Grażyny wynikało, że wejście na Meru jest znacznie ciekawsze niż na Kilimandżaro, co zdecydowanie potwierdziło się w trakcie wyjazdu.

Klucz do sprawnego przeprowadzenia wycieczki dała mi **Kasia Mazurkiewicz**, przekazując namiary na Bena, właściciela firmy Arunga Expedition. Ten kontakt praktycznie rozwiązał wszelkie logistyczne kwestie wyjazdu. Jeszcze tylko pozostało mi załatwienie biletów do Arushy, przekazanie uczestnikom wyjazdu informacji o profilaktyce zdrowotnej oraz wymaganym sprzęcie i można było na początku stycznia 2011 roku wylecieć z Gdańska przez Frankfurt, Addis Abebę do Arushy.

Dla mnie, jako kierownika czy pilota wycieczki, ten wyjazd pod względem organizacyjnym był wyjątkowo łatwy. Na lotnisku Kilimanjaro w pobliżu Arushy czekał na nas kierowca z firmy Bena, który zawiózł nas do hotelu agencji. Tam, na spokojnie, uzgodniliśmy z Benem ceny za wycieczki na Meru i Kilimandżaro oraz cały program wyjazdu. Specjalnie zdecydowałem się na przeprowadzenie negocjacji na miejscu, gdyż miałem świadomość, że Ben będzie czuł oddech konkurencyjnych firm, znajdujących się na sąsiednich ulicach, do których mogliśmy w każdej chwili się udać. Nie chciałem negocjacji prowadzić wcześniej przez Internet, gdyż są one trudniejsze od prowadzonych bezpośrednio, a poza tym do niektórych ustaleń byłbym zobowiązany.

Pierwszego dnia, w ramach oswojenia się z wilgocią i gorącem Tanzanii, udaliśmy się z wycieczką po pobliskiej wioski, gdzie obejrzelśmy plantacje kawy, bananowców oraz dyń, z których formowane są kalabasze. Poznaliśmy też w jakich warunkach żyją mieszkańcy wioski.

Następne cztery dni zajęła nam bardzo ciekawa wycieczka na wulkan Meru. Już sam pierwszy etap wycieczki był fascynujący, przechodziliśmy tuż koło żyraf i wielkich stad bawołów, przy których warowały gromadki czujnych guzciów, Czuliśmy się bezpiecznie, razem z nami szedł przewodnik ze strzelbą gotową do strzału.

Prawie cała nasza dziesięcioosobowa grupka weszła na Meru. Trzeciego dnia, w dniu „ataku szczytowego” wyszliśmy z chatki na wysokości około 3500 m o godzinie pierwszej w nocy. Szliśmy po ciemku długą, czasami eksponowaną granią, brodząc w wulkanicznym pyłu. Wschód słońca zastał nas na wierzchołku góry, skąd widoczne było odległe o siedemdziesiąt kilometrów Kilimandżaro. W zejściowej drodze dopiero zobaczyliśmy bardzo ciekawy krater, jakby we wnętrzu tej wielkiej góry.

Po wycieczce na Meru cały dzień przeznaczaliśmy na wypoczynek. Odwiedziliśmy muzea, w tym muzeum tanzanitu, lokalnego diamentu. Kupiliśmy też, a jakże, afrykańskie rękodzieła.

Wycieczka na Kilimandżaro trwała sześć dni. Zdecydowaliśmy się na polecaną przez wielu poprzedników trasę Machane. W trakcie tej peregrynacji byliśmy całkowicie zdani na opiekę naszych przewodników, posiadających wieloletnie doświadczenie i znających całą procedurę wejścia na górę. Dojechaliśmy do bramy wejściowej, gdzie spokojnie czekaliśmy prawie dwie godziny na załatwienie przez naszych przewodników niezbędnych formalności. W trakcie oczekiwania obserwowaliśmy bardzo długą kolejkę tragarzy, którym przed wyruszeniem na trasę sprawdzano wagę bagażu. Dowiedzieliśmy się, że w wyniku nacisku różnych organizacji społecznych, w celu ochrony tragarzy przed przeforsowaniem organizmu, tragarze mogli nosić najwyżej dwudziestokilogramowy bagaż. Kontrola ta widać była bardzo „afrykańska”, gdy później na trasie spotykaliśmy tragarzy zmagających się z o wiele większymi ciężarami.

Wraz kilkunastoma grupami turystów z całego niemal świata wyruszyliśmy przed południem spokojnie w górę. Spokojnie, bo w czasie całej wędrówki obowiązywała bezwzględnie zasada „pole pole”, którą już wcześniej poznaliśmy

podczas wypadu na Meru. „*Pole pole*” to w języku suahili znaczy „powoli powoli” i tak dbano, byśmy cały czas szli niemal w żółtym tempie. Tak więc statecznie, stukając kijkami trekkingowymi, weszliśmy w górne piętro wilgotnego lasu równikowego, mając dostatecznie dużo lasu na fotografowanie roślinności, ptaków i przyglądającym się nam małpom, Szliśmy szeroką, wydeptaną drogą jak „paniska”, w malutkich plecaczkach mieliśmy jedynie oprócz kurtki przeciwdeszczowej termosy z herbatą i tzw. „*lunch box*” czyli plastikowy pojemnik, w którym każdego dnia kucharz przygotowywał dla nas obiad, który spożywaliśmy po drodze. W zastawie obiadowym zazwyczaj były: bułka, ciasto, kawałek kurczaka, kawałek ryby, pomarańcze i mandarynki, sok w kartoniku, banan i różne owoce. Można tym było się najeść.

Każdego dnia, gdy przychodziliśmy na miejsce obozowiska, czekały na nas przyniesione nasze duże plecaki, rozstawione namioty oraz miednica z ciepłą wodę dla każdego z nas. W rozstawionym namiocie kuchennym na stołach stały termosy z gorącą herbatą i ciepła, prażona kukurydza. Tuż przed zmrokiem, po zagospodarowaniu się przez nas w namiotach, byliśmy zapraszani na smakowitą kolację.

Nad ranem zawsze był ten sam rytuał. Delikatnie nas budzono a przed namiotem stała miednica z ciepłą wodą. Na śniadanie był duży wybór potraw: jajecznicą, jajka sadzone, szynka, parówki, biały i żółty ser, owsianka, do picia była kawa, herbata, mleko, kakao. Na drogę otrzymywaliśmy herbatę w termosach i wspomniane wyżej „*lunch boxy*” z porcją na obiad. Nie zajmowaliśmy się składaniem namiotów, naszym zadaniem było jedynie spakowanie naszych rzeczy do dużego plecaka i zostawienia go na obozowisku. Likwidacja całego sprzętu biwakowego należała do obsługi. Stąd każdego dnia do południa wyprzedzało nas co najmniej kilkuset tragarzy, spieszących się

w stronę kolejnego obozowiska, by przygotować się tam odpowiednio na przyście klientów.

Równolegle z nami szła grupa Amerykanów i Anglików. Podczas gdy my spożywaliliśmy obiad przycupnięci gdzieś na trawie czy na kamieniach, dla nich na czas obiadu postawiono duże namioty, w których były znajdowały się stoły i krzesła. Potrawy były podawane w porcelanowych zastawach, a usługiwali kelnerzy w liberiach. Obok namiotów zainstalowane były przenośne toalety. Rzecz jasna taka wycieczka musiała ich trochę kosztować, z tego co wiem płacili za to dziesięć tysięcy dolarów.

Dzień za dniem stopniowo wznosiliśmy się w górę, wdzierając się w kolejne piętra roślinności. W porównaniu z różnorodną roślinnością na zboczach Ruwenzori, wielkie połacie zboczy Kilimandżaro były szaro-bure od zalegających na nich kamieni wulkanicznych, Jedynie tuż przed trzecim obozowiskiem w Baranco i tuż za nim szliśmy koło nielicznych senecji. Trzeciego dnia, w ramach urozmaicenia na trasie, wdrapaliśmy się na Lawa Tower, stumetrową turnię wyrastającą koło naszego szlaku.

Czwartego dnia doszliśmy do Barafu Camp na wysokości ok. 4670 m. W tym miejscu nie było źródeł z wodą, dostarczana była przez tragarzy z Karanga Camp położonego kilkaset metrów niżej, stąd nie było tam luksusów w postaci wody do mycia.

Kolację dostaliśmy wcześniej, bo zapowiedziano nam pobudkę o... jedenastej w nocy. W nocy dokuczał nam bardzo dokuczliwy wiatr, który przyginał namioty aż do ziemi. Wymęczyło to cztery osoby z naszej grupy, które zrezygnowały, mimo namawiania, z wyjścia. Wstaliśmy o jedenastej i posileni tylko biskwitami i herbatą wyruszyliśmy o dwunastej w górę. Przed nami było widać w ciemnościach sznur co najmniej kilkuset latarek czołowych, to samo

zobaczyliśmy poniżej, gdy tylko wspięliśmy się trochę ścieżką wiodącą zygzakami po piarzystym zboczu. Pięliśmy się mozolnie w górę przy bardzo silnym wietrze. Co chwila zdzierałem z twarzy grubą warstwę wulkanicznego kurzu. Co kilka minut spotykaliśmy osoby zawracające w otoczeniu swoich tragarzy czy przewodników, swoich aniołów stróżów. Choroba wysokościowa dawała się im we znaki.

Szliśmy wolno, do krawędzi krateru, do tzw. Stella Point dotarliśmy o wschodzie słońca. Dopiero wówczas mogłem zobaczyć jaki ogrom ludzi jest wokół nas.. Potem dowiedziałem się, że tego dnia na szczyt wyruszyło trzystu pięćdziesięciu turystów, którym towarzyszyła podobna liczba tragarzy czy przewodników. Każdego roku na tę najwyższą górę Afryki wybiera się ponad sto tysięcy turystów, z których sześćdziesiąt procent dociera do krawędzi wulkanu.

Razem z nami szli ludzie niemal z całego świata, słychać było wielką różnorodność języków. Zapamiętałem szczególnie ślaniającą się na nogach bardzo pulchną Afro-amerykankę, która wręcz niesiona z boku przez dwóch tragarzy i popychana przez trzeciego z nich, z wielkim trudem została doniesiona do na krawędź krateru. Cóż, była, dostanie dyplom.

Ze Stella Point ponad godzinę, w wielkim tłumie ludzi, szeroką, łagodną drogą wzdłuż szliśmy w stronę Uhuru, najwyższego wierzchołka Kilimandżaro. Po lewej stronie mijaliśmy olbrzymie lodowe seraki, zalegające długą krawędź wulkanu.

Na Uhuru zastaliśmy prawdziwe zbiegowisko ludzkie. Wiele osób aż się przepychało, by zrobić sobie zdjęcie pod tablicą szczytową. Czekaliśmy prawie godzinę, by towarzystwo się przerzedziło i by można było na spokojnie zrobić sobie dokumentację fotograficzną.

W drodze powrotnej, na długim piarżystym zboczach, spotkaliśmy w akcji kilka ekip ratunkowych, które znosiły w płachtach osłabione osoby. Podziwiałem tych chłopaków za ich sprawność i wytrzymałość, w dużą szybkością zbiegali w dół z osobami w płachtach.

Przed południem wróciliśmy lekko „zmarnowani” do obozu. Upał, wysiłek i niewyspanie dały się nam we znaki. W obozie powiedziano nam, że musimy do godziny szesnastej opuścić miejsce obozowiska, gdyż przyjdzie na to miejsce kolejna fala turystów. Będąc na obozowisku przyjrzałem się całej organizacji sterowania tym dużym ruchem turystycznym. Dotarło do mnie, że oprócz nas, kilkuset turystów, w to miejsce dociera co najmniej trzykrotna liczba osób, bo przecież z turystami docierają Tanzańczycy, stanowiący obsługę grup. Dla przykładu naszej dziesięcioosobowej grupie towarzyszyła dwudziestosiemiosobowa grupa obsługi, w tym jeden przewodnik, dwóch asystentów przewodnika i kucharz.

O ile cały teren był bardzo zadbany i nie było śmieci, to postawione na miejscach obozowiska „wychodki” były obskurne i rzadko sprzątane. Podejrzewam, że dla osób z Zachodu skorzystanie z tych przybytków było „przygodą”, którą zapamiętają na całe życia. Nie dziwota, że grupy wysokobudżetowe” posiłkowały się własnymi przenośnymi toaletami.

Szóstego dnia nad ranem, po śniadaniu nastąpiło oficjalne pożegnanie z ekipą przewodników i tragarzy w Mweka Camp. Przedtem jednak kucharz i jego pomocnicy dostali ochrzan od naszego przewodnika, bo jedna z uczestniczek poskarżyła się na brak... owsianki podczas ostatniego śniadania. Jeszcze przed braterskim pożegnaniem, musieliśmy przeprowadzić negocjacje w sprawie wysokości napiwków dla naszej eskorty. Byliśmy na to przygotowani

i po pewnym czasie uzgodniliśmy kwotę tysiąca dolarów, która jakoś musiała zadowolić obsługę.

Dlaczego tak dużo, a dlaczego tak mało ? Za całą wycieczkę na Kilimandżaro zapłaciliśmy 930 dolarów od osoby. W ramach tej kwoty wówczas agencja musiała zapłacić za każdego z nas opłaty parkowe, które wynosiły 60 dolarów za każdy dzień pobytu w Parku i 50 dolarów za każdy nocleg, co stanowiło sumę 610 dolarów. Na swoje koszty (w tym wyżywienie dziesięciu turystów i dwadzieścia siedem osób obsługi, transportu itp.) i własnego zysku agencji zostawało z nas 3200 dolarów. Nie mieliśmy złudzeń, że z tej kwoty zysk stanowił jej lwią część. Zresztą w trakcie marszu zaprzyjaźniliśmy się z obsługą i dowiedzieliśmy się, że oni właściwie żyją z napiwków. Cóż, taki świat, takie zwyczaje.

Przy bramie parkowej Mweka Gate skończyła się nasza przygoda z Kilimandżaro, dostaliśmy tam dyplomy potwierdzające wejście na szczyt i żegnając się jeszcze raz z tragarzami wyjechaliśmy stamtąd busikiem do Arushy. Zwiedziliśmy potem Parki Narodowe Manyara oraz Ngorongoro, a następnie autobusem i promem udaliśmy się do Zanzibaru. Ale to już inna opowieść.

Moje szczere wrażenia z wycieczki na Kili. Naprawdę była to niezbyt ciekawa, komercyjna eskapada w wielkim tłumie turystów. Przerazała mnie ta świadomość, że ludzie z całego niemal świata, z racji możliwości wejścia na najwyższą górę Afryki (może też legendy hemingwayowskiej), tak masowo, za duże pieniądze pełzną na tę górę. A przecież w samej Afryce jest tyle ciekawych gór, może o kilometr niższych. Wejście na górę jest banalnie łatwe, jedynie wysokość dla osób niezaklimatyzowanych jest utrudnieniem, stąd może udane wejście na górę oceniane jest jako wielki sukces. Ja miałem szczęście, byłem w bardzo dobrym towarzystwie starych znajomych i z tego powodu ten

wyjazd wspominam bardzo miło. Bo najważniejsze to jest dobre towarzystwo na szlaku.

Schodzą z góry wymyśliłem sobie taki wiersz: „*Kiedy już się czujesz staro, ruszaj na Kilimandżaro*” ☺

Michał Kochańczyk